

Seeliektgeornik

29. 11. 2012



SPIS TREŚCI

Wstępniak.....	3
Jurorzy.....	4
Wyniki.....	5
Recenzje przedstawień:	
Na pełnym morzu.....	6
Hydrozagadka.....	7
La Cosa Nostra.....	8
Ja i ty.....	10
Booyack show.....	11
Recenzja koncertu Funky Szayki.....	12
Relacja z zakończenia.....	15
Wywiad z Karoliną Kózką.....	16
Podsumowanie Festiwalu.....	17

Redaktorki naczelne: Ola Iskra, Ola Rosiek

Redaktorzy: Adelina Adamkiewicz, Paulina Godek, Natalia Górską, Ewelina Łapińska, Joanna Kaliszewska (gościnnie), Justyna Salacińska, Marysia Świtkowska, Beata Zybura, Adam Biedulski, Antek Jakubowski, Piotr Moskowicz, Tadeusz Rubik, Jacek Sienkiewicz

Szef fotografów: Kuba Wręga

Fotografowie: Dominika Dydziszko, Marysia Jędrzejewska, Szymon Fiderkiewicz, Paweł Komorowski, Alek Kozłowski, Filip Kuchta, Kuba Lański

Skład: Ewa Konecka, Ania Kukwa, Ola Lato, Justyna Szymańska

Projekt okładki: Witek Gretzyngier

Co Mieczysław Fogg zaśpiewałby na zakończenie Festiwalu?

Trudno w to uwierzyć, ale dzisiaj jest czwartek. Czwartek PO Festiwalu. Nie ma już żadnych wymówek oddalających apokaliptyczną wizję maja od Bogu ducha winnego maturzysty. Na pocieszenie pozostają wspomnienia z tych trzech dni, obciążonych ładunkiem doświadczeń, jakiego niektórzy nie gromadzą w ciągu całego roku.

Pora na wszelkiej maści podsumowania. Dla wielu ten Festiwal był tak naprawdę ostatnim, dlatego starali się go przeżyć jak najmocniej. Obejrzeliby zapewne większość spośród

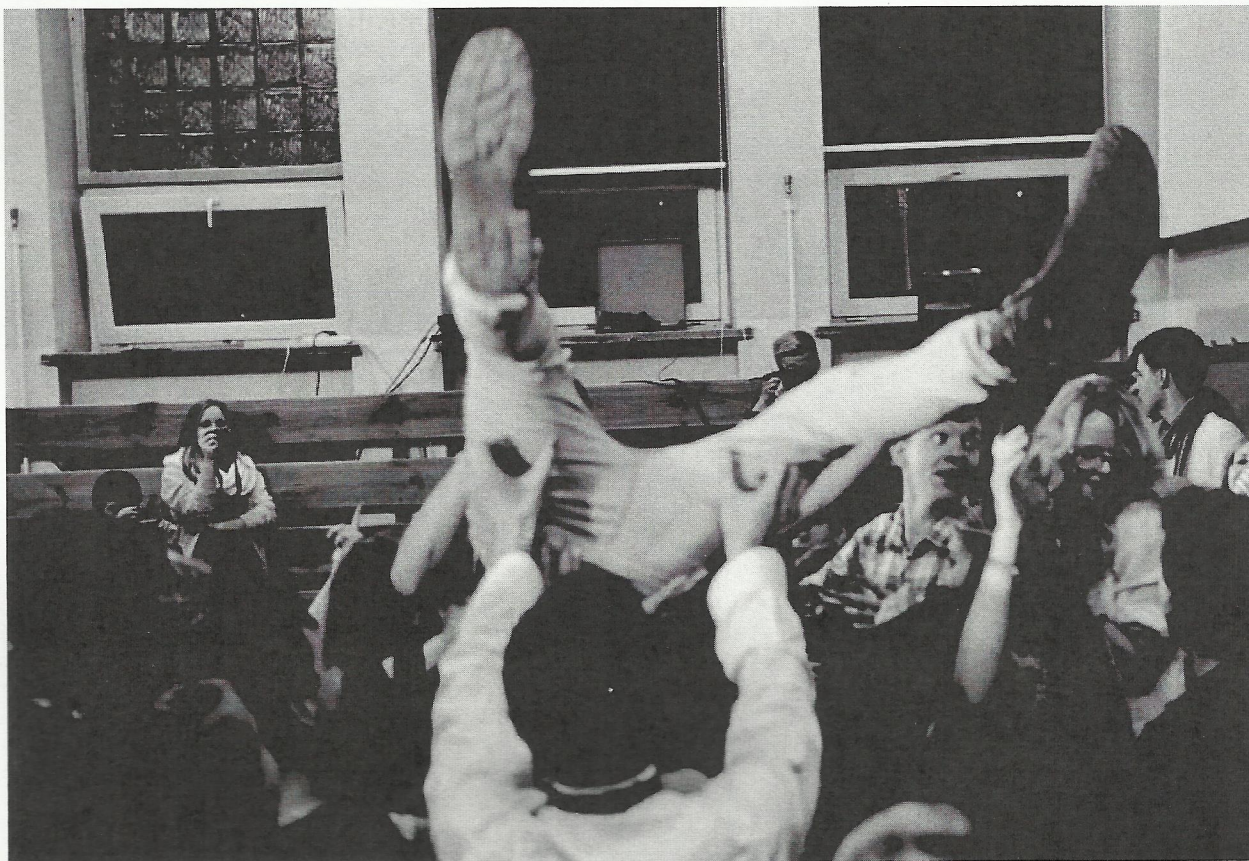
siedemnastu wystawionych na Kochanowskiej Scenie spektakli. Zjedli choć jedną pizzę. Przejechali się na cudzej hulajnodze. Przyszli powycić nieco w sali Bezpieki. Być może, odwiedzili nawet naszą Redakcję, która zwykła gościć przeróżne indywidualia. Słowem, wycisnęli FT do ostatniej kropli.

Nasz zespół redakcyjny ma to szczęście, że nadal może żyć w złudzeniu, iż Festiwal trwa. I tym sposobem przedstawiamy Wam ostatnie Kochanowskie recenzje tego roku, w tym refleksje naszej absolwentki na temat „Booyack Show”. Ponadto,

zapraszamy do lektury wywiadu z Szefową Wszystkich Szefów Karoliną Kózką. Prezentujemy też nasze Subiektywne podsumowanie całego przedsięwzięcia oraz rysunek autorstwa Justyny Sałacińskiej, który skupia na stronie A4 esencję Festiwalu.

A nam jest niewiarygodnie smutno, bo jakby zaśpiewał Mieczysław Fogg: „To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy, dzisiaj się rozejdziemy na wieczny czas.”.

Redakcja



JURORZY

SŁAWOMIRA ŁOZIŃSKA

Aktorka filmowa i teatralna oraz dyrektor naczelna warszawskiego Teatru Ateneum. Ukończyła Wydział Aktorski PWST w Warszawie. Jest również absolwentką naszego Liceum. Występowała między innymi na deskach Teatru Narodowego. Współpracowała z Telewizją Polską oraz była członkinią Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Została uhonorowana m.in. tytułem „Zasłużony Działacz Kultury”.

JERZY KUNICKI

Dyrektor Kochanowskiego, nauczyciel fizyki, pasjonat informatyki i nowych technologii, erudyta i miłośnik teatru. W Jury Festiwalu zasiada od wielu lat. Od dawna wspiera wszelkie inicjatywy kulturalne w naszej szkole, między innymi Festiwal Filmowy. To przede wszystkim dzięki jego przychylności rokrocznie w listopadzie szkoła zamienia się w prawdziwy teatr.

TOMASZ DASZCZUK

Reżyser, aktor, artysta kabaretowy. Absolwent Reżyserii Teatru Dzieci i Młodzieży we wrocławskiej PWST. Na co dzień, jako instruktor amatorskiej twórczości scenicznej, prowadzi warsztaty teatralne dla młodych ludzi w Stołecznym Centrum Edukacji Kulturalnej w Warszawie. Współorganizuje również amatorskie festiwale teatralne.

WOJCIECH SZAROWSKI

Teatrolog, nauczyciel języka polskiego, wiedzy o kulturze oraz wiedzy o teatrze w naszym Liceum. Pan profesor nie tylko wykłada teorię i historię teatru, lecz także regularnie bywa na premierach przedstawień oraz festiwalach teatralnych, na które od czasu do czasu zabiera ze sobą zainteresowanych sztuką wychowanków. Ponadto, w trosce o edukację kulturalną uczniów przygotowuje ich do udziału w licznych konkursach recytatorskich i teatralnych, a także prowadzi warsztaty.

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

Dramaturg związany na stałe z Nowym Teatrem, krytyk teatralny, wykładowca Akademii Teatralnej im. A. Zelwrowicza w Warszawie. Autor książki „Ojcobójcy. Młodzi zdolniejsi w teatrze polskim” oraz wywiadu-rzeki z Krzysztofem Warlikowskim, zatytułowanego „Szekspir i uzurpator”. Pracuje przy realizacji widowisk operowych, m.in. „Borysa Godunowa” i „Latającego Holendra” w Operze Narodowej. W Nowym Teatrze jest współodpowiedzialny za program artystyczny.

Wyniki XVIII FT

Grand Prix XVIII Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim: „Tango”

Nagroda Publiczności XVIII Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim: „Tango”

Najlepsza reżyseria: Joanna Merta za „Przy drzwiach zamkniętych”

Najlepsza pierwszoplanowa rola żeńska: Kamila Straszyńska, Zofia Kilian za role w „Przy drzwiach zamkniętych”

Najlepsza pierwszoplanowa rola męska: Daniel Potkański za rolę w „Hydrozagadce”

Najlepsza drugoplanowa rola żeńska: Olga Izdebska za rolę w „Klubie Kawalerów”

Najlepsza drugoplanowa rola męska: Michał Mokrogulski za rolę w „Tango”

Najlepszy scenariusz własny: „Pan Marian, czyli ostatnia cynamonka na Mokotowie...”

Wyróżnienie specjalne za reżyserię I st.: Alicja Garbacka i Weronika Rydlakowska za „Alicję w Krainie Czarów”

Wyróżnienie specjalne za reżyserię II st.: Kamila Straszyńska za „Nosorożca”

Wyróżnienie specjalne za reżyserię III st.: Jakub Głasek za „Hydrozagadkę”

Wyróżnienie specjalne za pierwszoplanową rolę żeńską: Olga Iskra za rolę w „Klubie Kawalerów”

Wyróżnienia specjalne za pierwszoplanową rolę męską: Marek Mogilski za rolę w „Tangu”, Jakub Golinowski za rolę w „Hydrozagadce”, Miłosz Konkel za rolę w „Życiu Sztuki”, Dominik Gorbaczyński za rolę w „Przy drzwiach zamkniętych”

Wyróżnienie specjalne za drugoplanową rolę męską: Jakub Paster za rolę w „Nosorożcu”

Wyróżnienie specjalne za ruch sceniczny: „Klub Kawalerów”

Wyróżnienie bardzo specjalne: Agnieszka Mikulska za spektakl „La grande madre de la muerte”



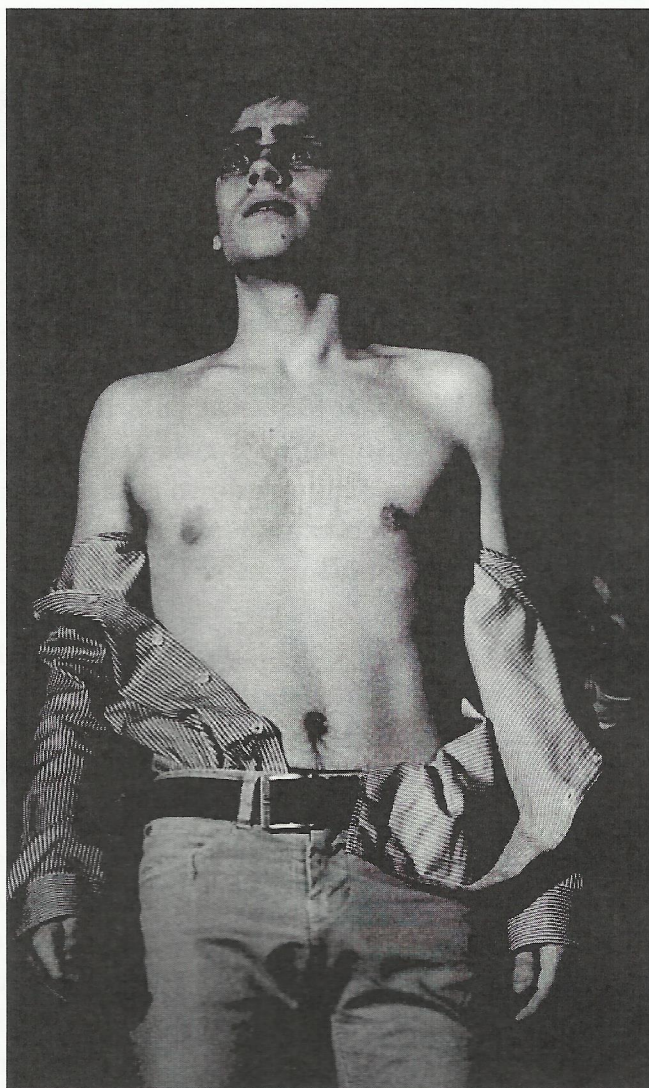
Na pełnym morzu

„Czy nie widzisz, że on już jest szczęśliwy?”

Karolina Kowalczyk, reżyserka spektaklu, postanowiła przygotować adaptację komedii, która według mnie idealnie wpasowała się w konwencję Festiwalu. Była nim jednoaktówka Sławomira Mrożka „Na pełnym morzu”, która w niezwykle zabawny i błyskotliwy sposób demaskuje tajniki manipulacji i przedstawia reakcje psychologiczne człowieka przypartego do muru. Uczniowie liceum im. Pawła Jasienicy podjęli się ryzykownego zadania. Potrzeba bowiem niebagatelnych zdolności aktorskich i poczucia humoru, aby w przekonujący sposób zobrazować styl tego satyryka.

Po odsłonięciu kurtyny widzom ukazuje się trzech mężczyzn płynących na tratwie po morzu. Są wygłodniali, od kilku dni nie mieli nic w ustach, awody po horyzont – powoli tracą nadzieję na pomoc. W końcu postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce: trzeba zdecydować, który z nich poświęci się dla pozostałych i da się zjeść. Każdy z uczestników zdarzenia reprezentuje inną postawę. Pierwszy, najwyższy, ma charakter typowego despoty. Drugi jest uosobieniem motłochu, prostego ludu, który w trosce o własne interesy podporządkowuje się silniejszemu i utożsamia się z jego poglądami. Cechy ostatniego, najniższego, to poświęcenie, szczerłość i godność, ale też naiwność.

Pierwszym skojarzeniem, które przyszło mi do głowy po obejrzeniu przedstawienia, był „Władca much” Goldinga. Tak samo jak w tej książce, zachowanie rozbitków można porównać to zasad powstawania całych systemów politycznych. Najbardziej



trafnym przykładem w tym przypadku jest totalitaryzm – tyran zdobywa zaufanie mas fałszywymi obietnicami i demagogią. Gdy tylko garstka myślących, lecz niegroźnych ludzi zacznie uparcie działać przeciwko niemu, siłą przekona ich do swoich poglądów. Będzie w stanie tak zakłamać rzeczywistość i uprzykrzyć im życie, że sami uwierzą w to, przeciwko czemu walczyli. W taki właśnie sposób na pełnym morzu Wysoki zmusił Małego, aby dobrowolnie dał się ugotować.

Pod względem merytorycznym przedstawienie Karoliny Kowalczyk bardzo mi się spodobało. Jeśli chodzi o samo wykonanie, również czuję się usatysfakcjonowany (tak samo jak reszta widowni, co można było wywnioskować po licznych wybuchach śmiechu i gromkich brawach). Najbardziej przekonujący wydał mi się Jędrzej Jeleński, który grał Wysokiego (a w interpretacji Mrożka – Grubego, jednak wydaje się, że w odniesieniu do tego aktora tytuł taki nie byłby adekwatny). Jego sposób mówienia i poruszania się idealnie oddawały charak-

ter postaci. Mówił głośno i wyraźnie, a to jest naprawdę istotny element podczas prezentowania się na sali gimnastycznej! Niestety nie można było powiedzieć tego samego o Lokaju (Maciej Libich), którego kwestii pomimo skupienia nie udało mi się zrozumieć. Poza tym grę aktorską wykonawców

odebrałem bardzo pozytywnie.

Na koniec dodam tylko, że „Na pełnym morzu” było jednym z lepszych przedstawień, które udało mi się zobaczyć na tym Festiwalu. Rewelacyjny humor Mrożka w połączeniu z dobrym wykonaniem dał naprawdę przyjemny efekt.

Jacek Sienkiewicz

HYDROZAGADKA

As nigdy nie odmawia

O tym, że mam pisać recenzję „Hydrozagadki”, dowiedziałam się jakieś 10 minut przed spektaklem. Jako że został on zagrany zamiast odwołanego „Iwanowa”, w poprzednich numerach „Subiektywnika” nie pojawiła się jego zapowiedź i zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Podejrzewam jednak, że nawet gdybym jakąś przeczytała, przedstawienie i tak okazałoby się całkowitym zaskoczeniem.

Trudno stwierdzić, czym właściwie była „Hydrozagadka”. Jednak jakkolwiek by jej nie określić – pastiszem opowieści o superbohaterach, zbiorem gagów czy rozworem nasyconym absurdu – bez wątpienia rozbawiła znakomitą większość publiczności, nie tylko tę część, która wiedziała, o co właściwie chodziło. Na początku fabuła wydawała się prosta: oto w całym mieście zabrakło wody, wezwanowięc na odsiecz tajemniczego Asa, który miał odkryć, kto za tym stoi, i wymyślić sposób zapobieżenia katastrofie. W czarnej koszulce z wielką literą A, legginsach tegoż koloru i czerwonych gatkach z wyszytym na gumce jakże gustownym napisem Calvin Klein, walczył ze złym planem doktora Plamy, dumnie paradował po scenie i zlatywał z niej, wykonując efektowne podskoki będące prawdopodobnie połączeniem wyczynów wszystkich superbohaterów razem wziętych. Równie komiczną postacią był Główny Zły, czyli wspomniany doktor Plama. Jego zamiar przetransportowania całej wody z jeziora do suchego

kraju Maharadży był fenomenalny w swej prostocie, jak przystało na plan geniusza zła z prawdziwego zdarzenia, a przy tym niemożliwie absurdalny (jak zresztą cały spektakl). Salwy śmiechu na widowni wywołała też – niezależnie od swego bardzo luźnego związku z całością przedstawienia – scena, w której wielokrotnie padła kwestia: „Zdejm kapelusz”, a której punktem kulminacyjnym stała się miłość francuska przy zapalonym świetle.

„Hydrozagadka” dostarczyła nie tylko wrażeń intelektualnych, ale – przynajmniej żeńskiej połowie publiczności – także estetycznych. Mam oczywiście na myśli moment, w którym żony Maharadży w bezpośredni sposób ukazały swą prawdziwą tożsamość. Sądząc po entuzjastycznej reakcji, przynajmniej ta część widowni wyszła ze spektaklu usatysfakcjonowana.

Uczniowie, którzy wystawili „Hyd-



rozagadkę”, wykonali kawał dobrej roboty. Zaspokoiли zapotrzebowanie widzów na abstrakcyjny dowcip na co najmniej parę najbliższych tygodni (choć swoje chyba też, ponieważ czasami aktorzy sami ledwie po-

wstrzymywali się od śmiechu, co chyba jest jedynym aspektem spektaklu, do którego w ogóle można się przyczepić). Twórcy filmu „Austin Powers. Szpieg nie umiera nigdy” mogliby się od nich wiele nauczyć.

Beata Zybura

La Cosa Nostra

Topos oliwy
w teatrze współczesnym

Jeśli używacie sycylijskiej oliwy, to Don Daniele Potalivi maczał w tym palce! Czy prawda to, czy nie, każdy, kto ma choć trochę oliwy w głowie, doceni taki żarcik – podobnie jak niezliczoną liczbę pozostałych kawałów, dykteryjek i gierków słownych, którymi nasycony był (jak włoska kuchnia oliwą) scenariusz przedstawienia „La Cosa Nostra”, wystawionego w niedzielę przez zespół aktorski z Czackiego. Jednak choć wymówki w stylu „jakby co, to oglądaliśmy «Traviatę»” i porównania takie jak „bogatsza niż grób Tutenchamona”, wzbudziły i w autorce tej recenzji należyty zachwyt (choć w obliczu wcześniejszych wniosków może się to zdać samochwalstwem), cała „La Cosa Nostra” tego nie zrobiła. Dlaczego?

Zacznijmy może od najprostszego sposobu oceny – wymieniania po kolei. Co było dobre w spektaklu Zofii Załęskiej i Natalii Gretzyngier? Gra aktorska, rozplanowanie przestrzeni, sprytne chwytły reżyserskie

(wykorzystanie białej płachty jako „ekranu” dla gry cieni!), chórki, kostiumy, stworzona specjalnie na użytek tej produkcji muzyka – czyli bardzo dużo elementów. Zdawałoby się wręcz, że wszystko. Początek przedstawienia wzbudził we mnie nawet strach, iż owa ekipa – czyli ta sama grupa, która w zeszłym roku za swoją interpretację „Piotrusia Pana” zdobyła Grand Prix siedemnastego FT – i tym razem wygra nasz przegląd. „Gdzie jest boża sprawiedliwość?!” – zaczął wołać we mnie jakiś cichy głosik, niepozabawiony nie tylko redaktorskiego zmysłu moralnego, ale również egocentryzmu osoby biorącej czynny udział w tworzeniu innego spektaklu. „Czemu oni?”, „Jakim cudem?” – nie przestawał dopytywać. W pewnym momencie zaczął nawet wymyślać teorie spiskowe godne, jak mniemam, samego Antoniego Macierewicza. „A może oni nie robią tego sami? Może pomagają im duzi ludzie, podczas gdy sztuki festiwalowe powinny być tworzone tylko



przez małe, kudłate hobbity?" – insynuował. Zaczynało mi być bardzo wstyd, że mogę tak w ogóle myśleć. Jednak – na szczęście dla mnie i wprost przeciwnie dla twórców przedstawienia – diabeł na moim ramieniu wkrótce stracił inspirację do wymyślania takich imputacji.

Bowiem choć spektakl teoretycznie cały czas utrzymywał wyznaczony pierwszą sceną poziom, coś zaczęło zawodzić. Vittoria Potalivi niezmiennie rozśmieszała swoją próżnością, a motyw feministycznych zapędów „żony ojca chrzestnego” Louise Zakrzello ciągle wzbudzał uśmiech, ale mimo to widownia zaczęła się nudzić. Zbyt długie pauzy przeznaczone na zmiany scenografii, niezbyt dobrze dopracowane piosenki głównych bohaterów i przede wszystkim fakt, iż na scenie często za dużo się działo, sprawiały, że publiczność przestawała się angażować. Obiektywnie rzecz biorąc, spektakl cały czas zasługiwał na miano „dobrego”, lecz mimo to nie wywołał większych emocji i nie zebrał żadnych nagród.

Wydaje mi się, że głównym powodem tego był fakt, iż twórcy „La Cosa Nostra” porwali się trochę z motyką na słońce. Pomysł na przedstawienie był naprawdę dobry, dialogi – pierwszorzędne. Jednak gdy oglądałam ten spektakl, nie przestawało mnie męczyć pytanie: „Czemu to w ogóle jest musical?”. Moja tanecznie wyedukowana koleżanka stwierdziła po jego zakończeniu, że choreografia była nędzna, a choć ja sama (której zdarzyło się już mieć wobec naszego, amatorskiego w końcu, Festiwalu zbyt wysokie wymagania – i potem tego żałować) nie określiłabym jej tak okrutnym epitetem, nie mogłam jednak nie zwrócić uwagi na bardzo nierówny poziom wykonujących ją tancerek. Oprócz tego trudno pominąć fakt, że podobnie jak piosenki, nie odegrała ona zasadniczo żadnej roli dla całokształtu przedstawienia – pomijając sam motyw „bycia choreografią”. Nie chcę krytykować tu umiejętności tanecznych czy fizjonomii tancerek, gdyż oba te elementy były na jak najbardziej „adekwatnym” poziomie (a uśmiech jednej z pań wprost rozbijał), jednak muszę powiedzieć, że moim zdaniem to przedstawienie nie straciłoby nic, gdyby nie było musicaliem. Może stałoby się nawet lepsze, gdyż nadmiar elementów na scenie często sprawiał, że w widzu rosło poczucie

chaosu i przesady. Zdaje się również, iż był on głównym czynnikiem wpływającym na zasłyszaną przeze mnie kilkakrotnie opinię, że „La Cosa Nostra” to podręcznikowy wręcz przykład przerostu formy nad treścią.

Jednak skoro dodałam tutaj już tak dużą łyżkę dziegciu, może czas na powrót do nurkowania w beczce miodu. Jak wspomniałam, gra aktorska była naprawdę przednia. W szczególności podobały mi się głowy obu rodów – Don Daniele Potalivi grany przez Daniela Potkańskiego i Don Kajuto Zakrzello powołany do życia przez Kajetana Zakrzewskiego. Również kobiety – Vittoria (Zuzanna Predygiel) i Louise (Zofia Załęska) zostały wykreowane z dużą klasą i polotem. Jedną z ostatnich scen, tą, w której Vittoria na przyjazd policji ustawia się jak do sesji zdjęciowej, doprowadziła mnie niemalże do płaczu. Wisienkę na tym torcie stanowił zaś Lorentini (Michał Lorent), absolutnie rozkoszny w swoim dążeniu do powiększania kolekcji łyżek stołowych.

Największą sympatię wzbudził we mnie jeden czynnik – bijące z całego przedstawienia inteligencja i błyskotliwość twórców. Sam „ukryty za kulisami” system nazywania postaci, który wszyscy czytelnicy bez wątpienia dostrzegli już przy okazji czytania poprzedniego akapitu, sprawia, że autorzy spektaklu zdają się być naprawdę wspaniałymi ludźmi. Oprócz tego – żarty, energia, pomysłowość... – tyle dobrych rzeczy! Wobec tego mam nadzieję, iż mimo ambiwalentnego przyjęcia przez publikę i tego, że ekipa „La Cosa Nostra” składa się głównie z trzecioklasistów, zobaczymy jeszcze twórców owego spektaklu na naszym Festiwalu.

„Tajemnica szczęścia ukryta jest w tym, by widzieć wszystkie cuda świata i nigdy nie zapomnieć o dwóch kropkach oliwy na łyżce.” – napisał (przynajmniej zdaniem Wikiquote) Paulo Coelho. „Nie dolewaj oliwy do ognia” – krzyknęło przysłowie polskie, widząc, że wprowadzam do recenzji motyw autora najgorszych bestsellerów tego świata. Dobrze już, dobrze, pamiętam o istnieniu „Zmierzchu” i „Pięćdziesięciu twarzy Greya”! „Prawda jak oliwa, zawsze na wierzch wpływa” – można by podsumować. Tak czy owak: droga ekipo „La Cosa Nostra” – nie ulegajcie zniechęceniu, jeszcze tyle żartów z oliwą do powiedzenia!

Ola Rosiek



Ja i ty

(Obyło się
BEZ
Power
Rangersów)

Siedzę sobie na Sali, czekając na spektakl, a tu nagle pod sceną pojawia się aktorka wystylizowana na małą dziewczynkę. Przy początkowym zdziwieniu (które, niestety, z czasem zmieniło się w zrezygnowanie), rzuca w stronę widzów piłkę do siatkówki, którą ci odbijają. Pomyślałem, że to dość ciekawy zabieg – zaangażowanie Sali w spektakl jest pomysłem co najmniej oryginalnym.

Później było już gorzej, żeby nie powiedzieć – bardzo źle. Możliwe, że brakuje mi jakiejś części mózgu odpowiedzialnej za dostrzeganie i analizowanie wyższych emocji, które wyrażane były na scenie. Tak czy siak – ja zamiast nich widziałem po prostu nudne przedstawienie. Niemniej jednak muszę przyznać, że podziwiam aktorów. Było ich dwoje (dość irytująca kreacja niewinnej dziewczynki i neurotycznego dziwaka). Mimo szablonowych ról, w które mieli się wcielić, grali naprawdę nie najgorzej, dobrze znali tekst i mam wrażenie, że próbowali dodać coś od siebie. Nie zmienia to jednak faktu, iż zostali zdyskwalifikowani na starcie, a to za sprawą scenariusza.

Opowiadał on historię dwojga młodych ludzi (może dzieci?), którzy budują mur odgradzający ich od publiczności. Neurotyczny młodzieniec boi się bowiem, że ktoś rzuci w niego kamieniem (metaforyczna ludzkiej pogardy, krytyki). Motyw kamieni obecny jest przez niemal cały czas trwania spektaklu: najpierw boi się ich dziewczynka, a chłopiec zapewnia ją, że nie warto,

później na odwrót – i tak w kółko. Następuje prawie godzinny, nieprzerwany dialog między bohaterami. Rozmawiają o swoich emocjach, wrażliwości i życiu wśród ludzi.

Akcja rozgrywa się w scenerii przypominającej bajkę. Postacie posługują się prostym językiem, ich dominującą potrzebą jest zaś poczucie bezpieczeństwa i akceptacji. Temat aktualny, bo za sprawą Internetu i telewizji bezustannie porównujemy się z innymi. Np.: „Ha! Nie jest tak źle, jestem inteligentniejszy od przeciętnego polityka.” Albo: „Moje życie nie ma sensu, nie odczuwam emocji towarzyszących bohaterom «Trudnych spraw»”.

Wracając do przedstawienia: wszystko może wyszłoby i ciekawie, gdyby nie czas: krótką scenkę rozciągnięto do wręcz wiecznych, niekończących się niczym intrygi w „Modzie na sukces” pięćdziesięciu minut.

I jeszcze na koniec: zabrakło elementu zaskoczenia. Oczywiście, nie musiałyby to być koniecznie profesor Bielska wyskakująca w stroju króliczka z czerwonego pudła. Ale chociażby kamień rzucony z widowni? Aktor w stroju kamienia machający rękami niczym czerwony Power Ranger? A tak pozostało tylko zniechęcenie i nuda. Po tym, jak zasłonięta została kurtyna, usłyszałem tylko ekstatyczne „TAK!” wykrzywane przez damę siedzącą koło mnie. Ale jej nazwiska zdradzić nie mogę, bo jeszcze komuś przyjdzie na myśl rzucić w nią kamieniem.

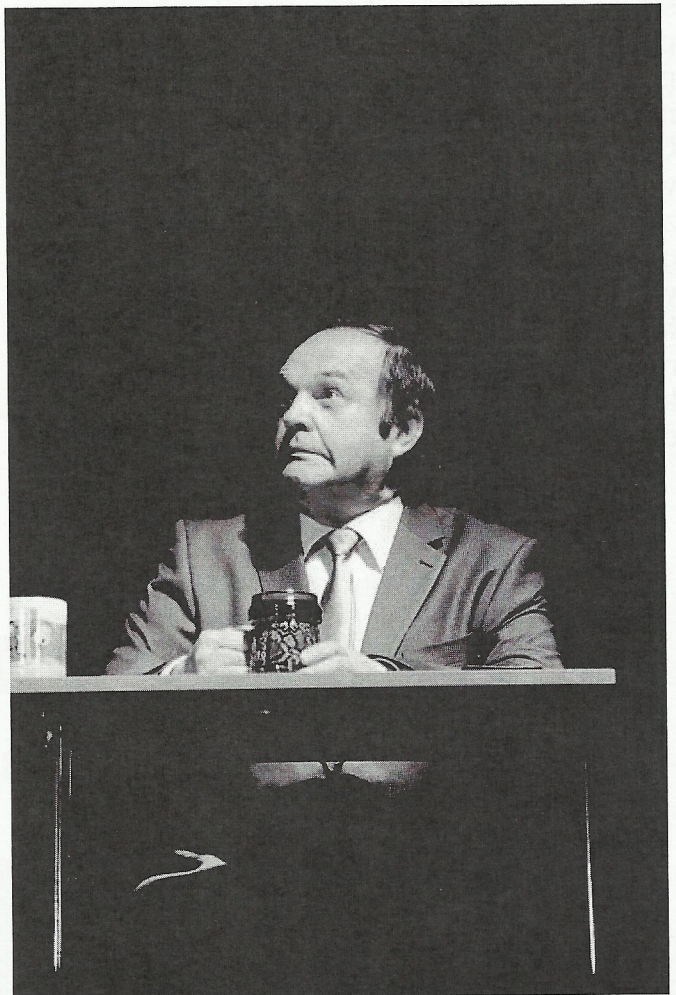
Antoine Jakubowski

Booyack Show

W poszukiwaniu Świderka
straconego

„Booyack Show” na Festiwalu Teatralnym miałam okazję zobaczyć już czwarty raz w życiu. Rok w rok, Festiwal po Festiwalu, kiedy ktoś pyta mnie „Jak Ci się podobało?”, odpowiadam – „No cóż, właściwie to... nie wiem.”. Bo „Booyack Show” to jest jednak taki rodzaj przedstawienia, które trudno skomentować. Co roku rozbawia publiczność do łez, co roku pozwala zmniejszyć dystans między uczniem a nauczycielem, co roku dostaje serię braw ze strony publiczności. Jest również zwieńczeniem teatralnych zmagania podczas imprezy – to ostatni występ aktorów na deskach Kochanowskiego. Jednak czy jego stałe, zarezerwowane miejsce w harmonogramie Festiwalu Teatralnego jest słuszne?

W poprzednich latach nie zadawałam sobie tego pytania – twierdziłam, że Booyack to po prostu tradycja i musi być, no bo co to za Festiwal bez takiego Show? Tegoroczny występ zmienił jednak nieco moje nastawienie. Przede wszystkim, poziom żartów staje się już naprawdę żenujący. Nie mówię tu o żartach związanych z pracownikami naszej szkoły – te, jakie by nie były, są przyjemne dla oka i ucha (jak dyrektor Jerzy Kunicki z jeżem na głowie mógłby się znudzić? No way!). Granica dobrego smaku zostaje jednak nieco przekroczona, kiedy na scenie pojawiają się dowcipy o zabarwieniu... erotycznym. Naprawdę. To się dzieje. Ludzie przychodzą tłumnie na salę, żeby pośmiać się z nauczycieli w zabawnych sytuacjach, a tutaj seks. No cóż, chyba nigdzie się przed nim nie schowamy. Jeszcze co do treści – chciałabym zauważyć, że chyba po raz pierwszy w dziele z profesorem Bujakiem na czele pojawia się nutka refleksji, poważny temat. Mianowicie na końcu dowiadujemy się, że nie warto gonić za dobrami doczesnymi, gdyż zapominamy wtedy, jaki jest nasz prawdziwy cel w życiu. Taki element był w tym przedstawieniu pozytywnym zaskoczeniem, pytanie, na ile



udało mu się nie zginąć w obliczu takiego poziomu humoru.

Jak już było o poziomie żartów, to teraz o poziomie aktorów. A właściwie także o ich obecności. Zanim napiszę, kto był i jak się sprawdził, napiszę, kogo nie było. NIE BYŁO PROFESORA ŚWIDERKA. Kiedy zobaczyłam go wśród publiczności na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia, nawet nie byłam w stanie skojarzyć faktów – przecież w poprzednich latach stanowił on gwóźdź programu! Założę się, że część obecnych na sali uroniła choć jedną łzę z powodu tej straty. W ramach rekompensaty publiczność dostała pełnoetatowo grającą profesor Bielską, jedną z najbardziej znanych postaci naszej Szkoły. Swoją rolę

odegrała na satysfakcjonującym poziomie, zaskakując zebranych dystansem do przedstawienia, otwartością i luzem. Profesor Bujak natomiast nie zmienił swojej kreacji aktorskiej ani trochę, nawet minę miał tę samą, co zawsze. Niesamowicie, z jak wielkim dystansem postać ta potrafi podejść do swojej roli na Festiwalu, jak niesamowicie dobrze czuje się na scenie, jak nie wstydzi się pokazać siebie – ba! – robi to z widoczną pewnością siebie. Ciekawy punkt refleksji po „Booyack Show” stanowi właśnie zastanawianie się – ile jest Bujaka w Booyacku? Czy postać, którą widzimy, ma coś z tego wymagającego nauczyciela fizyki? Czy to zwykła fikcja? Ci, którym było dane dobrze go poznać, nie muszą się nad tym zastanawiać, jednak zdecydowana większość zadała sobie to pytanie choć raz. Ale obsada to nie tylko nauczyciele! To także uczniowie, którzy postanowili poświęcić trochę czasu dla... sztuki(?). Na szczególne wyróżnienie

w tym aspekcie zasługują prawdopodobnie najbardziej rozpoznawali bliźniacy na Wiktorskiej – Bartek i Kuba Wręga. Swoje role potraktowali poważnie, bawili się tym wydarzeniem, jednocześnie świetnie wyglądali, tańczyli, śpiewali weselne piosenki i podrywali profesor Bielską. Duże pokłony dla nich, bo ratowali ten spektakl!

Mam nadzieję, że wybaczycie mi małą objętość i chaotyczność tej recenzji, jednak pisać o „Booyack Show” naprawdę nie jest łatwo. Na koniec chciałabym dodać, że niektórzy humaniści również wiedzą, czym są liczby urojone – to tak bardziej do twórców przedstawienia. Do reszty czytelników – postarajcie się sami odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie zadałam w pierwszym akapicie i może dajcie jakiś feedback twórcom przedstawienia. Wasze uwagi może skłonią ich samych do zastanowienia się nad przyszłością tej tradycji.

Joanna Kaliszewska

„Wcinaj banana, mata” czyli wrażenia z koncertu Funky Szayki

Salatka owocowa. Kto jej nie lubi? Idealna, wielobarwna mieszanka słodkich i kwaśnych owoców o różnej teksturze. Dodaje energii, poprawia humor (zwłaszcza, gdy za oknem widać tylko niepokojąco wygłodniałe wrony gmerające w zgnitych liściach). Specyfika tego dania polega na możliwości dowolnego dobierania składników, co daje kucharzowi-demiurgowi pełną swobodę.

Takim właśnie „owocowym melanzem” można by nazwać zespół, który umiał nam ostatnie chwile na XVIII FT. Funky Szayka to, jak sama nazwa wskazuje, projekt swobodny, dowcipny oraz nieco eksperymentalny. Już samo połączenie saksofonu z rapem (wybaczcie, jeśli używam nieadekwatnej nomenklatury) brzmi jak mieszanka wybuchowa. Jeżeli dodamy do tego scratche, bas, gitarę elektryczną oraz rozszalałą publiczność złożoną z byłych, terażniejszych i niedoszłych Kochaniaków, uży-

skamy istny szal. Szal, jakiego doświadczyli uczestnicy niedzielnego koncertu.

Wiele osób z niecierpliwością czekało na to wydarzenie. Zawsze ciekawie jest zobaczyć bliższego lub dalszego znajomego w niecodziennych okolicznościach. Doskonałym tego przykładem była grupka zagozowanych fanów niejakiego Olka aka Pokaż Cycki. Z zapałem godnym Perfekcyjnej Pani Domu skandowali oni imię idola oraz rzucali bielizną damską. Wdarli się nawet na samą scenę, pragnąc jak najbardziej zbliżyć się do onieśmiałego saksofonisty. Saksofonisty, który doprowadzał do szału nie tylko swą aparycją, lecz także grą. I nie chodzi tutaj o to, że grał wspaniale sensu stricto. Nie porównałabym Olka do Johna Coltrane’a, jednak bez wątpienia miał on w sobie wielkie pokłady wdzięku oraz energii. Skoro o energii mowa, należy wspomnieć o tryskającym nią Chomiku (dla niewtajemniczonych – Michał Pawlik), który wprost porwał

za sobą tłum. Jego niezachwiana pewność siebie sprawiła, że we wszystkim, co robił na scenie, wyglądał autentycznie. Teksty rapował z przekonaniem, wcielając się poprzez odpowiednią modulację głosu w różne role. Przyznaję, iż miejscami miałam niemały problem ze zrozumieniem słów. Nie wiem, z czego to wynikało, ale często reszta zespołu zagłuszała wokalistę, co nie umknęło zresztą uwadze innych uczestników wydarzenia (niektórzy wręcz opuścili salę). Udało mi się jednak wychwycić wystarczająco dużo mniej lub bardziej poetyckich zdań, by zauważyć elokwencję wykorzystaną przy ich układaniu. Frazy płynące z ust Chomika były dowcipne, pozostawiały ślad w pamięci słuchacza. Szczególnie zapamiętałam „Nie mieszaj chłopie/dziewko tak, bo przyjdzie Agent K” – werset o prawdziwie wieszczym charakterze. Fragment ten przypadł chyba do gustu większej liczbie odbiorców, bowiem to właśnie „Agent K” zespół zagrał w ramach bisu.

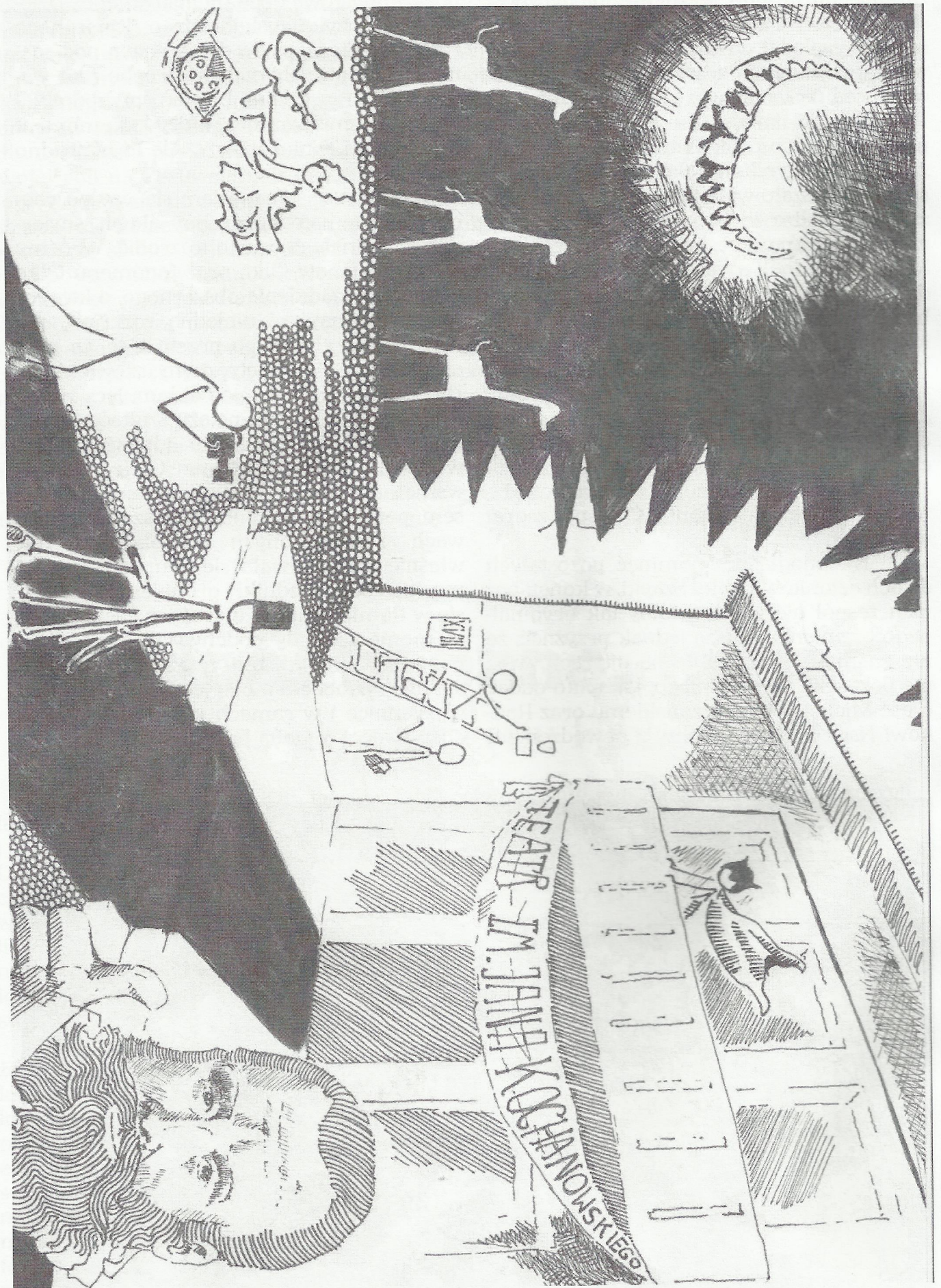
Nie mogłabym pominąć pozostałych dwóch członków Funky Szayki, w końcu bez nich zespół nie wykreowałby tak oryginalnego brzmienia. Muszę jednak przyznać, że nie znam się kompletnie na gitarach, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko oddać cześć Michałowi Wituszyńskiemu oraz Radkowi Nawrockiemu, którzy z powodzeniem

poskramiali owe obce mi instrumenty. Dzięki nim muzyka zyskała nieco drapieżnego rytmu, zachęcającego do skakania pod sceną. Popracowałabym tylko trochę nad wyrazem twarzy Radka, bowiem przypominał on miejscami skazańca, który lada moment zawisnie na rynku miasta. Ale to nietrudno zmienić.

Długo zastanawiałam się, czy poświęcić temu tematowi odrębny akapit, stwierdziłam jednak, że warto to zrobić. Wróćmy zatem do fanów Olka oraz fenomenu Olka w ogóle. Zagadnienia obszernego, o którym można by napisać niejedną rozprawę naukową. Czy chodzi po prostu o to, że nasz absolwent jest sympatycznym człowiekiem? Bynajmniej tego nie podważam, lecz wydaje mi się, iż nie tutaj należy szukać rozwiązania owej zagadki. Może odpowiedź tkwi w instrumencie, na którym Olek gra? Powszechnie wiadomo, że saksofon budzi czasem pewne skojarzenia, zwłaszcza w głosach rozochoconych nastolatków. Tak właśnie zachowywała się grupka, a raczej męskie odpowiedniki groupies rzucające się w tłumie. Trudno opisać ich zachowanie w momencie, gdy podchwycili hasło „Wcinaj banana, mała”. Tam trzeba było po prostu być. Nieobecni mogą jedynie przywdziać włosiennice i w ramach pokuty uroczyście odśpiewać „We gotta have that Funk!”.

Ola Iskra





Rysowała nasza redaktorka Justyna Sałacińska

RELACJA Z ZAKOŃCZENIA

Niejednym łza się w oku kręci

To musiało się stać. Mimo zgrzytania zębami, rozpacz matek tulących do piersi płaczące dzieci i wygrażania palcami szefów sekcji, pełnoletni już Festiwal Teatralny musiał dobiec końca. Zanim to jednak nastąpiło, uczniowie naszego jedyne go w swoim rodzaju liceum udowodnili po raz kolejny, że są niezaprzeczalnie wyjątkowi, uprawiając przy tym niejednego festiwalowego gościa w zdumienie i zachwyty.

Zaczęło się niepozornie – od występu członków Sekcji Niespodzianki, którzy splątani w gąszczu rajstop odtańczyli parę kroczków w przód i w tył w widocznym zakłopotaniu. Publika jednak bawiła się dobrze, klaszcząc i podskakując, w czym prym wiedli niezastąpieni absolwenci. Następnie wszyscy odśpiewali najklasycyzniejsze z klasycznych utworów z bajek Disneya (swoją drogą, panu Waltowi zapewne zakręciłaby się łezka w oku, gdyby mógł to usłyszeć). Atmosfera iście rodzinna! Całe wydarzenie okraszono jeszcze zawodzeniem w rytm „I will survive” – czyżby była to jakaś drobna sugestia od Sekcji Technicznej? Tego nie będzie dane mi się dowiedzieć.

Potem jednak nastąpiło najlepsze! Kochanowski teatr zamienił się na kilka chwil w remizę strażacką, w której puszczana z maksymalną głośnością wyborna

muzyka disco polo poniosła spontanicznie rozradowany tłum licealistów. Wystarczyło kilka pierwszych dźwięków cieszącego się dużą popularnością utworu „Uwielbiam ją”, by wszyscy jak jeden mąż wstali z krzeseł i zaczęli tańczyć (aż się prosi, by napisać: bansować) na scenie, schodach, ławkach – gdzie tylko się dało. Całe uroczyste zamieszanie zawdzięczamy Sekcji Technicznej (choć raz Was nie krytykują!), która doskonale dobrała repertuar piosenek i sama zapoczątkowa-

„XVIII Festiwal Teatralny zyskuje już rangę wspomnienia...”

ła owe hulanki. W jej ślady poszli świetni (w tym roku szczególnie) konferansjerzy, pociągając za sobą tłum.

W końcu nadszedł i czas na nagrody, a w związku z tym także na zaskoczenia. Myślę, że zgodzicie się ze mną, Drodzy Czytelnicy, iż jednym z nich było wyróżnienie specjalne za dalece niekonwencjonalny manifest „La grande madre de la muerte” i zaproszenie na Festiwal Sztuka Działła Agnieszki Mikulskiej. Nie mogę też nie wspomnieć o tak rzadkiej zgodności widzów i jurorów, którzy to przyznali swoje nagrody spektaklowi „Tango”

w reżyserii Agnieszki Michalskiej, Kacpra Pruchnika i Marka Mogińskiego. Laureatom serdecznie gratuluję. Ale najmilszym dla mnie i paru innych osób wyróżnieniem specjalnym, cóż się zresztą dziwić, okazało się to dla redakcji „Subiektywnika”. Zaniecham opisywania szeregu uczuć i reakcji fizjologicznych, które wywołała we mnie ta nagroda, ograniczę się do skromnego: dziękujemy. Fantastycznie jest zostać docenionym przez profesjonalne jury, choć muszę przyznać, iż równie ogromną satysfakcję sprawia widok rąk wyciąganych (na przykład, bo oczywiście nie tylko) ku mnie, gdy dumnie kroczę przez korytarz, trzymając na rękach stertę świeżo wydrukowanych gazet. Właśnie Wam, Drodzy Czytelnicy, w imieniu całej redakcji serdecznie za to dziękuję.

Ale dość już z propagandą sukcesu. Napiszę jeszcze tylko, że po obfitym w zaskoczenia, zachwyty i zapewne też rozczarowania rozdaniu nagród, zgodnie z tradycją obejrzelśmy filmik festiwalowy przygotowany przez Sekcję Filmową, co trochę osłodziło widowni gorzkie rozstanie z Festiwalem. Teraz pozostaje nam tylko wrócić do codziennej, szarej rzeczywistości szkolnej. XVIII Festiwal Teatralny zyskuje już rangę wspomnienia... Ale przecież nie będę tu płakać!

Ewelina Łapińska

Wywiad z Szefową XVIII Festiwalu Teatralnego, Karoliną Kózką

Jak wrażenia po Festiwalu?

Przede wszystkim, czuję satysfakcję, choć jest mi też żal, że tak szybko się skończyło. Ciężko mieć świadomość, że coś, na co pracowało się przez pół roku, minęło w ciągu trzech dni i czas wrócić do codzienności. Jednak były to 3 wyjątkowe dni, choć tak pracowite (momentami niektórzy z nas nie wyrabiali kondycyjnie, pokonywanie szkolnych korytarzy biegiem było najczęstszą dyscypliną sportową uprawianą podczas FT). Mam wrażenie, że wszyscy są zadowoleni z tej osiemnastej edycji Festiwalu. Nie słyszałam żadnych skarg i zażaleń, co nie oznacza oczywiście, że Festiwal był idealny. Jak zawsze, można było wszystkiego dopilnować lepiej i pomyśleć o paru rzeczach wcześniej. Jednak jak najbardziej jestem zadowolona.

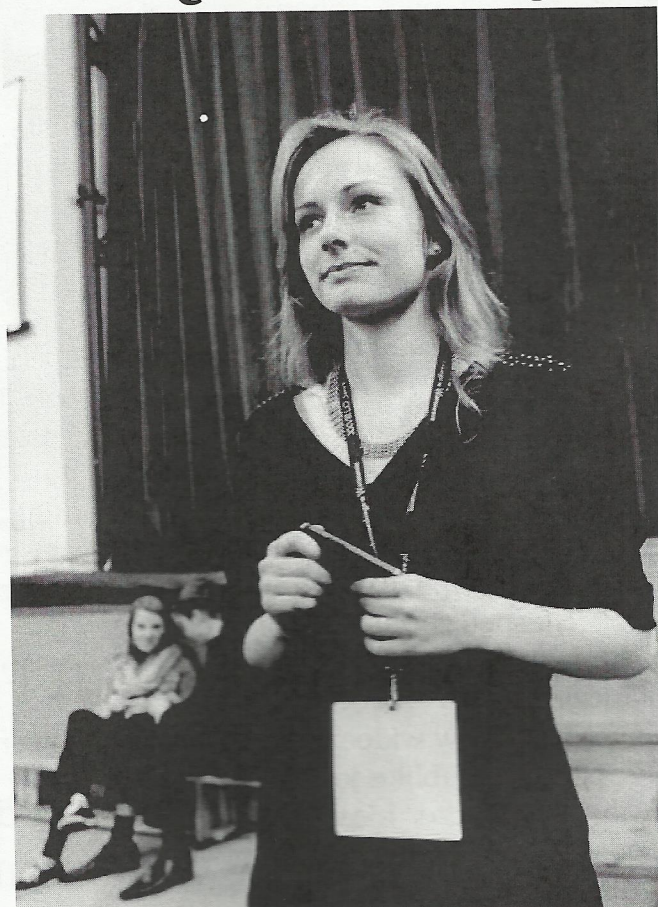
Co podobało Ci się najbardziej...?

Najbardziej? Zdecydowanie atmosfera Festiwalu i poczucie w chwilach przerwy, że wszystko toczy się tak jak powinno. Dla większości szefów 18FT ten Festiwal był tak wyjątkowy, ponieważ już ostatni. W dodatku, obchodził osiemnaste urodziny w tym samym czasie, co niektórzy z nas. Całe to zamieszanie festiwalowe pierwszego dnia (piątek) też będę na pewno wspominać w przyszłości z uśmiechem. Dodatkowo, cieszy mnie bardzo sukces nowej sekcji - Nie spodzianki na FT.

...a co byś zmieniła w samym Festiwalu i jego organizacji?

Spróbowałabym załatwić jeszcze lepsze nagrody i lepszy sposób na zapanowanie nad niezadowolonym często tłumem, który nie mieści się w sali (ponieważ ograniczona liczba biletów, jak widać, nie zawsze działa). Jednak trudno jest zmieścić wszystkich w sali na ok. 400 osób, kiedy na Festiwal przychodzi prawie 1000.

Co było dla Ciebie najtrudniejsze w ca-



łym przedsięwzięciu?

Na pewno wymagająca była systematyczna praca przed Festiwalem, czasem trudno jest pracować dzień w dzień na coś, co wydaje nam się bardzo odległe. Myślisz sobie: „Mam jeszcze pięć miesięcy, mogę to zrobić jutro.”, a tak naprawdę im wszystko załatwi się wcześniej, tym dla ciebie lepiej, bo potem mniej rzeczy może negatywnie zaskoczyć. Trzeba o tym pamiętać. Dodatkowo, jest to ciągła praca z ludźmi, a jak wiadomo, różnie można trafić, choć mam głównie miłe wspomnienia z tym związane. **Czy za rok odwiedzisz naszą szkołę w czasie Festiwalu?**

Za rok, dwa, trzy lata... niesamowitym uczuciem musi być patrzenie, jak Festiwal się zmienia. Tak naprawdę co roku jest zupełnie inny, więc oczywiście, że tak!

Rozmawiała Beata Zybura

MIĘDZY SERCEM A ROZUMEM

Podsumowanie XVIII Festiwalu Teatralnego

- Masz kaca?
- Nie.
- Ja też nie.
- To znaczy, że Festiwal był nieudany?
- Nie...
- „XVIII Festiwal Teatralny przeszedł do historii.” Tak napiszmy.
- Nie, napiszmy rozmowę. Jak Ci się podobało nasze osiemnaste Festi?
- Trudno ocenić obiektywnie. Jak dla mnie każdy Festiwal jest wspaniały, ale to dlatego, że nie potrafię na niego spojrzeć z dystansem, za duże zaangażowanie emocjonalne.
- Też prawda. Ale było w nim coś innego, co nie? Były momenty absolutnego, chodzącego na kozich i niekozich nóżkach cudu, i były momenty złe.
- Ale to tylko pokazuje, jak bardzo jesteśmy do tego przywiązani.
- Wiem przecież, mnie też to dotyczy. Zwłaszcza, że tak naprawdę w Festiwalu nie są najważniejsze same przedstawienia. Tylko ten klimat, nocne posiadówki w Redakcji, SingStar w sali Bezpieki, pizza zimna jak serce złej kobiety.
- Opinia niepoprawna politycznie, ale prawdziwa.
- Ale w sumie czy to złe, że tak naprawdę Festiwal jako taki, Festiwal jako przegląd przedstawień teatralnych nas nie obchodzi? Że jest coś nieadekwatnego w tym, że liczy się dla nas zabawa za kulisami?
- Nie, bo to jest wszystko niewymuszone. Jeśli na scenie dzieje się coś interesującego, poświęcamy temu uwagę. Jednak Festiwal to dla nas swego rodzaju żywy organizm, któremu sami nadajemy różne formy, kształty. I właśnie to poczucie ma dla mnie największą wartość.
- Dla mnie też. Tak naprawdę moglibyśmy

- zorganizować FT tygodniowy, a nie weekendowy. I nawet gdyby każdego dnia wystawiano tylko jeden spektakl, tak czy siak bawilibyśmy się przednio, biegając, jedząc, spotykając absolwentów, tańcząc i śpiewając. I robiąc w sumie najważniejszą na Festiwalu rzecz – poznając nowych ludzi. Jesteśmy w trzeciej klasie, wydawałoby się, że w całym Kochanowskim nie ma już nikogo, kogo warto poznać – chyba te ostatnie dwa i pół roku były wystarczającym na to czasem. A tu – taka niespodzianka...
- I to promieniuje na resztę roku szkolnego, na stosunki między ludźmi, na porozumiewawcze spojrzenia na przerwach.
- Ale wobec tego – czy to ma sens? Czy nie lepiej byłoby zamiast Festiwalu urządzić wielką fiestę?
- Nie, bo to właśnie organizacja tego wszystkiego daje nam tyle satysfakcji, dostarcza tylu tematów do rozmów.
- W sumie, rzeczywiście. Jednak trochę obawiam się o przyszłość Festiwalu, a zarazem martwię się, że właśnie takie nasze podejście należy obarczyć winą za to. Festiwal, choć ciągle wspaniały, zaczyna przypominać monstrualną monarchię administracyjną. Organizatorów, ludzi zaangażowanych jest tona; żeby wybrać kilku szczęśliwców spośród tłumów szturmujących nabory do sekcji, trzeba robić ostrą rekrutację, klasówki z pytaniami o promocję na Cheeseburgery w McDonalddie, kolejne etapy rozmów kwalifikacyjnym jak w najgorszej korporacji. Nie żebym to potępiała, same robiłyśmy nasz mały przegląd talentów. Ale wygląda to niepokojąco wobec lecącej na łeb, na szyję liczby zgłaszanych przedstawień.
- No tak, coraz częściej odnosi się wrażenie,

Podsumowanie

że Festiwal to przerost formy nad treścią – I jest w tym dużo prawdy. Jednak fakt, że ludzie cały czas chcą na niego przychodzić, pokazuje, że to wciąż ma sens. Bo przecież widzów nie obchodzi to, co robimy za kulisami, tylko to, co dzieje się na scenie. A mam wrażenie, że na widowni nie siedzą wyłącznie mamusie, tatusiowie, przyjaciele, wujkowie oraz krewni i znajomi Królika.

- Ale ja wcale tego nie insynuuję! Chodzi tylko o to, jak rozwiązać ten problem. W tym roku podczas pierwszego dnia Festiwalu zagrano tylko pięć spektakli – czy to nie trochę za mało?

- Tak. Myślę, że powinniśmy promować Festiwal bardziej jako szansę na zaprezentowanie się na scenie, pokazanie tego, co tworzyło się wcześniej przez długie miesiące. A teraz jest trochę tak, że dziesiątki osób przygotowują grunt dla garstki ludzi występujących na scenie. Zachwiana została więc pewna równowaga.

- To prawda. Robimy dla pierwszoklasistów zebranie, na którym zachęcamy do zaangażowania się w pracę w sekcjach – ale zapominamy o tym, żeby powiedzieć im o robieniu przedstawień. Wpadamy w szal organizacji i niektóre rzeczy umykają naszej uwadze, dopóki nie jest już za późno. Myślę, że kolejny szef FT, Daniel Buśko, powinien coś z tym zrobić. Wprowadzenie obligatoryjności wystawiania spektakli – jak jest na przykład w Czackim – to oczywiście głupi pomysł, wtedy znakomita większość „wytworów scenicznych” byłaby niewartymi grzechu gniotami. Ale położenie większego nacisku na promocję pracy twórczej jest absolutnie konieczne, jeśli nie chcemy, żeby Nietzsche powiedział nam, że „Festiwal umarł”. Filmy, plakaty, „mówki”... Co jeszcze byś zmieniła, żeby Festi rośnie na sile, a nie stało w miejscu lub kostniało z biegiem czasu?

- Powiedziałabym wszystkim, jakie to niesamowite uczucie, gdy ktoś docenia twoją pracę nad spektaklem, i mówi, że to, co zrobiłeś, w jakiś sposób go poruszyło.

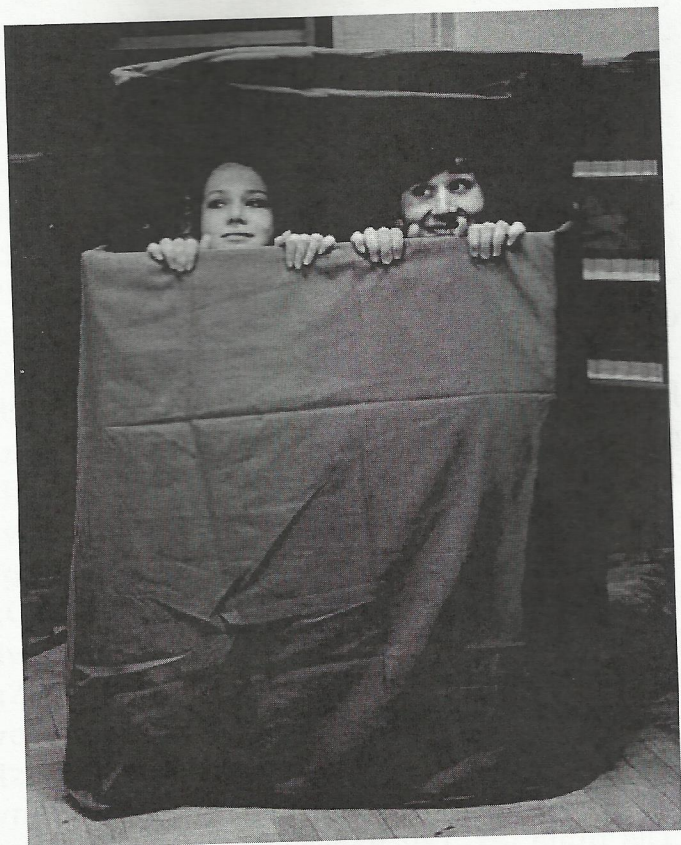
- To prawda. Może i nieładnie jest schodzić

na tak prywatne tematy (i wtrącać tak kiczowate refleksje), ale mimo to chcę powiedzieć, że choć nasze przedstawienie, „Klub kawalerów”, nie dostało żadnej z głównych nagród, to reakcje widzów – zarówno tych znanych, jak i tych całkiem obcych – były najcudowniejszym prezentem, jaki mogliśmy sobie wymarzyć.

- I może zabrzmiało to głupio, ale ilość sympatii, jaką obdarzyli nas ci ludzie, przerosła nasze najśmielsze oczekiwania.

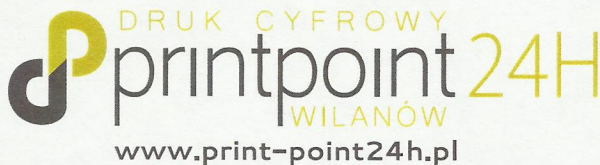
- Więc, Drogi Czytelniku, czy jesteś uczniem, czy absolwentem, czy chodzisz do Kochanowskiego, czy nawet do Reytana(!), zapraszamy, prosimy i z całego serca polecamy – wystaw coś na XIX Festiwalu Teatralnym! FT skończył już 18 lat, jest całkowicie i oficjalnie dorosły, pić i palić może, ile tylko zechce (choć jest mądry i unika używek) więc i Ty dorośnij do tego, żeby się na nim pokazać. „Śmiało, sokole, śmiało!”

*Rozmawiały, odczuwając
nostalgię za utraconą
ojczyzną,
Ola Iskra i Ola Rosiek*



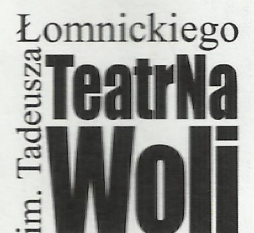
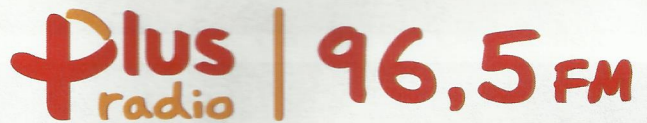


Sponsorzy:



Szczególnie dziękujemy Galerii Mokotów za udostępnienie elementów dekoracji
oraz
Radzie Rodziców XXVIII Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kochanowskiego w Warszawie.

Patroni:



Patroni medialni:

